

Polityka i obyczaje

Adam Grobler

W obecnej dyskusji nad kondycją nauki polskiej wyraźnie zaznaczają się dwa wątki. Pierwszy wiąże się z kwestią polityki naukowej, która w obecnym swym kształcie utrwała system akademicki odziedziczony, ze wszystkimi jego słabościami, po minionej epoce. Jeśli coś się zmieniło, to chyba tyle, że w miarę przejrzysty system podwójnej lojalności – wobec komunistycznej władzy i naukowego etosu – ustąpił miejsca nieprzejrzystemu systemowi wielorakich lojalności. Dawniej było mniej więcej wiadomo, kto awansuje dlatego, że grzeczny, a kto dlatego, że uczony. Kryteria niegdyś niejednolite dziś stały się rozmyte. Nie za sprawą polityki, lecz za sprawą obyczajów, która jest drugim wątkiem naszej dyskusji.

Propozycje w rodzaju obowiązkowego publikowania recenzji habilitacyjnych i profesorskich mają na celu poprawę przez wywołanie poczucia wstydu u nierzetelnych recenzentów. Poczucie wstydu, które w czasach podwójnej lojalności wymuszało u prominentów przyzwoite odruchy ratujące niepokornych, ale naukowo obiecujących, ustąpiło trudnym do zdefiniowania postawom, które chronią rozmaite kategorie osób wedle niejasnego klucza. Nie tylko zwolnienie osoby z grupy nazwanej przez Jana Woleńskiego nieudacznikami, ale nawet zaniechanie zawarcia z nią umowy na kolejny okres zatrudnienia, postrzegane są jako jej „krzywdą”. Nad krzywdą bardziej utalentowanego kandydata, dla którego brakuje etatu na uczelni, czy krzywdą studenta, który zasługuje na lepszego nauczyciela, a zatem krzywdą dla polskiej nauki i edukacji, mało kto się zastanawia.

Chętnie przyznam Janowi Woleńskiemu rację, że same próby zawstydzania mają niewielkie szanse na odniesienie pożądanych skutków. W każdym razie nie szybko i nie na szeroką skalę. Niemniej wtedy, gdy rozważaliśmy w KNF propozycję wprowadzenia obowiązku publikowania recenzji, nie mieliśmy dość śmiałości i wyobraźni, aby zaproponować coś bardziej radykalnego (na marginesie: dyskusję podjęliśmy niezależnie wniosków od wspomnianej, „wielce osobliwej recenzji” – została ona użyta jako ilustracja problemu już w zaawansowanym stadium dyskusji). Dlatego z entuzjazmem przyjąłem projekt minister Kudryckiej, aby certyfikat promotorski, który ma zastąpić habilitację (co prawda, nie wiem, po co ją zastępować czymś innym), przyznawał zewnętrzny zespół, a nie rada wydziału.

No bo proszę: słucham kolokwium habilitacyjnego, dajmy na to, z historii. W dyskusji mówię, że wydaje mi się, iż kandydatka odpowiada niezupełnie na temat. Na to wstaje Naczelny Historyk Wydziału i mówi, że na temat i wyczerpująco. Jaki sens ma moje głosowanie? Nie znam się na problematyce rozprawy. Mój głos zatem nie jest wyrazem opinii w przedmiocie głosowania, lecz wyrazem zaufania lub jego braku do ekspertów uczestniczących w przewodzie. Czy zatem nie byłoby lepiej, aby decyzję podejmowało konsylium złożone z samych ekspertów, do tego ekspertów z natury mniej stronniczych od kolegów kandydatki z tego samego wydziału? Lepiej dla sprawy i lepiej dla mnie, bo mógłbym kilka godzin spędzić bardziej produktywnie.

Generalnie, projekt ministerialny mi się podoba. Oczywiście, jest on na razie bardzo ogólnikowy i póki kurtyna się nie odsłoni do końca, za wcześnie na brawa. Nie widzę jednak powodu, aby z góry podchodzić do niego nieufnie, na przykład obawiać się dalszej inflacji profesur. Obecna ustawa również dopuszcza nadawanie tytułu z pominięciem habilitacji. Nie sądzę zatem, aby coś miało się w tym zakresie pogorszyć. Przeciwnie, dostrzegam w projekcie liczne sygnały intencji projektodawców zmierzających do obiektywizacji procedur. Może to nic nie da, ale jeśli to nic nie da, to co coś da?

Żeby jednak zmiana procedur mogła coś dać, potrzebne są równoległe działania w sferze obyczaju. Jan Woleński słusznie zaznaczył, że najbliższym celem propozycji obowiązku publikowania recenzji było nie podniesienie moralności, ale zwykłej praworządności. Plagą jest bowiem uchylanie się recenzentów od orzekania, na czym polega wymagany ustawą wkład kandydata do dyscypliny. Kiedyś na posiedzeniu CK domagałem się, aby wystosować upomnienie pod adresem rady wydziału, która przyjęła recenzje ograniczające się do komplementów w rodzaju „głęboko rozważa”, „szeroko analizuje”, bez żadnej wzmianki na temat wytworów tych ambitnych czynności. Argumentowałem, że rada popełniła nie zwykły błąd proceduralny, lecz zaniechała ustalenia materialnej podstawy wniosku, nad którym głosowała. Bezskutecznie. Tymczasem – przynajmniej w moim poczuciu praworządności – uchwała rady była nielegalna, ponieważ podjęła ją bez sprawdzenia, czy spełnione są ustawowe warunki jej podjęcia. Przestępstwo popełnił też dziekan, który podpisał do wypłaty honorarium za recenzję pozostawiającą bez odpowiedzi pytanie, które stawia jej ustawodawca. Tak to zły obyczaj może sparaliżować działanie prawa.

Nie bez kozery na początku mojej wypowiedzi dałem wyraz tęsknocie za obyczajami z czasów podwójnej lojalności. Wtedy bowiem można było przynajmniej od czasu do czasu oczekiwać zachowań przyzwoitych nawet ze strony osób o mało chwalebnej biografii. Dziś natomiast, gdy zdarzy mi się, z powodów nie do

podważenia, dać negatywną recenzję, dochodzą do mnie wieści, że koledzy z zainteresowanej rady wydziału tropią domniemany konflikt między mną a autorem lub promotorem skrytykowanego dzieła. Widać bardziej skorzy są, niż w czasach (pod innymi względami na szczęście) minionych, spodziewać się po mnie działań z niskich pobudek.

Oczywiście znam lepsze od PRL-owskich wzory obyczajów. Kiedyś mój amerykański kolega na mój komentarz na temat pewnego wystąpienia konferencyjnego powiedział: „Bardzo mi wstyd”. Zapytałem, dlaczego. „Bo ona robiła u mnie doktorat” – usłyszałem w odpowiedzi. I o ten wstyd właśnie chodzi. Bo cóż poradzi prawo, jeśli jego stróże będą bezwstydni.